



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Bóg z nieba wysokiej stolicy
Nad obszar tych ziemskich padolów,
Służących u Jego prawicy,
Na ziemię wysła aniołów...

* * *

Ci, lecąc powietrznych dróg szlakiem
Z wiosennych tchnień świeżych powiewem,
Żegnają zbawienia ją znakiem
I płyną cichutko ze śpiewem...

* * *

A każdy ma w srebrnej odzieży,
W zawojach anielskiej swej szaty,
Zasiewy z niebieskich szpichlerzy,
Na przyszłe łąk, lasów, pól... kwiaty.

* * *

I lecąc nad ziemią tak, sięją
Po całym rozległym obszarze,
A ziemia przyjmuje z nadzieją,
Co dadzą niebiescy siejbiarze...

* * *

I wkrótce świat cały zakwita —
I płynie na lasy, doliny
Woń cudna, — pamiątka sowita
Po siewach z anielskiej krainy.

Józef Sankowski.

Kwiaty.

Gdy pierwsze wiosenne promienie
Upadną na ziemię stęsknioną,
Gdy pierwsze ożywi ją tchnienie
I zadrży radością jej łono, —

* * *

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Pan podskarbi pomoże mi przeprowadzić do kolasy jaśnie wielmożnego starostę — ozwał się Niewdźyd, dzwigając pod ramię drzemającego pana Fortunata.

Stępka zadowolony, że przecież raz już wyjadą, wziął pod ramię swego chlebobawcę, a skinąwszy na dwóch pacholków, kazał im podtrzymywać nogi jaśnie wielmożnego starosty, ociężałego po tylu trudach.

Wreszcie przy pomocy kilku jeszcze innych pacholków udało się podskarbiemu ułożyć tę godną osobistość w wysłanej doskonale kolasie.

— Niewdźyd, głowa! — zawołał budząc się Próźnołęcki.

Nie było rady, Stępka, nie chcąc drażnić starosty, musiał pozwolić, ażeby nowy dworzaniin zajął miejsce obok pana i pilnował jego dostojnej głowy.

Niewdźyd, który wciąż myślał o wymknięciu się z tego, jak nazywał, piekła, teraz musiał się poddać swemu losowi. Westchnął więc tylko.

— O moja matusiu, broń-że mnie abym nie ulgnał w tem błocie — i wsiadł, trzymając glinianą bańkę, napełnioną wodą.

Wsiadł też zaraz i Stępka z niezwykłym pośpiechem i zawołał:

— Ruszaj!

Cięzka kolasa wytoczyła się wreszcie z pod zajazdu Bodziecha, obok niej kilku jezdnych, dalej wozy i cały dwór jaśnie wielmożnego starosty, który *pro publico bono* tyle podejmował trudów.

Bodziech za odjeżdżającym ostatnim pacholkiem kazał zamknąć wrota, a wygrażając pięścią, wśród mroku budzącego się zaledwie poranka zawołał:

— Zmarniejesz ty, gałganie, sam i twój starosta, nim mnie w pole wywiedziesz.

A dzień pochmurny, mglisty, przeciążony jakoś duszną atmosferą, wstawał powoli, wieszając gęste chmury nad drzemającym w swojej kalosie tym niby dostojnikiem i godnym jego dworem.

IV.

Kraj, wyczerpany wojnami przez ciąg panowania Jana Kazimierza, popadł w nieład i rozstrój. Za panowania tego króla szemrano, że nie umie granic od nieprzyjaciół obronić i należytego porządku utrzymać; teraz gdy Jan Kazimierz r. 1668 złożył koronę, nie zostawiając następcy, stanęli wszyscy bezradni, nie wiedząc, co z sobą dalej począć.

Ile głów, tyle było zdań; każdy prowadził na tron swego kandydata, miarkując, żeby przy tym nowo obranym jak najlepszy urząd sobie zapewnić i napocześniejsze miejsce otrzymać. Sięgających po tron opustoszały nie brakło, a obce mocarstwa, widząc w Polsce nieład, chciały przez wprowadzenie swego sojusznika jak największe korzyści osiągnąć.

Każdy więc piekł swoją pieczeń przy tem ogniu niezgody, a naród cierpiał podwójnie. Cierpiał materialnie i moralnie. Spustoszone wojnami i bezczynnością łany nie

dawały należytego zbioru, a obłożona nadmiernymi podatkami i powinnościami szlachta ubożała, chwytając się coraz więcej pańskiej klamki, jako ostatecznego według ich mniemania ratunku.

I przy tej klamce zatracano nietylko zdanie, ale częstokroć cześć i wiarę w swe własne siły.

Wykształcenie nie dawało im też szerszych poglądów. Szkoły jezuickie były dla średnio zamożnego szlachcica za drogie; kształcili się w nich tylko bogaci.

Inne szkoły w XVII. wieku prawie zupełnie upadły, a szlachta, nie lubiąca bardzo garnąć się do książki, nie kwapiła się też zbytecznie do nauki. Taki więc szlachcic zasiadł na swojej chudobie, szedł za pierwszym lepszym, który go umiał ująć zręcznością, protekcją, gładką i szumnie brzmiącą mową: obiecywano własność i rozkosze, o których dopełnieniu nikomu się nie śniło.

Wśród takiego stanu rzeczy poczyniali już mnożyć się ludzie tacy, jak Fortunat Próźnołęcki.

Przychodzili oni nie wiedzieć jak i kiedy do wielkiej fortuny, a z nią do znaczenia; rozumu jednak razem z fortuną nabyć nie mogli. Tacy to ludzie w odleglejszych, zapadłych okolicach przewodniczyli szlachcie, otaczając się prócz tego doradcami równie wątpliwej wartości, jak oni sami i ich stanowisko.

Wdzierali się rozmaitemi sposobami pomiędzy ludzi znacznych, rozumiejących potrzeby kraju i, korzystając z liberrum veto, wykrzykiwali je, nie wiedząc częstokroć na co i po co.

Dawna, głęboka religijność upadała, a z nią poczucie sprawiedliwości oraz szlachetna i piękna dewiza „*pro publico bono*,” jaką się szczylił wiek XVI.

Zastawiano się wprowadzić religią i pracą dla dobra ogółu; na każdym kroku wołano: „dla dobra publicznego, lecz wielu tylko myślało o sobie, nie troszcząc się bynajmniej, że popychają naród do upadku i zguby. Nic więc dziwnego, że w tych warunkach zwołany po abdykacji Jana Kazimierza, sejm konwokacyjny w listopadzie r. 1668, a następnie elekcyjny 2-go maja 1669, zamiast radzić i wybierać króla, zeszedł na kłótniach i przelewie krwi bratniej.

Plumnie przybyła szlachta, słysząc krzyki pod szopą, to jest wśród obradujących, nie wiedziała najczęściej o co chodzi; na pierwsze więc hasło rwała się do szabli, przypomniała osobiste urazy i rąbała się na zabój.

Nic więc dziwnego, że wśród takiego napływu ludzi, starosta szreński, przybywszy ze swoim dworem znalazł taki ścisk na Pradze, że o wygodnem pomieszczeniu myśleć nie można było.

Wszystkie zajazdy i domki mieszczkańskie były zajęte przez panów radnych i dwory, szlachta zaś porozkładała się obozem na polu, nie dbając o dach nad głową, kiedy tam w górze błyszczało pogodą sklepienie nieba.

Przez całą drogę starosta, a za jego przykładem podskarbi, spali snem dusz sprawiedliwych. Rozbudzili się raz tylko na popasie dla pokrzepienia sił nadwątlonych. Niewdźyd więc mógł się oddać własnym myślom i rozpaniętywaniu tego, co przez te kilka dni widział i słyszał na dworze, do którego był zaliczony.

Na jakimś popasie kazano mu się przebrać w przystojne suknie: miał więc ciemne szarawary, włożone w cholewy od butów, zielony krótki kubrak, i pas rzemieśnny z klanurą świecąca. Najwięcej zaś zachwycała go szabelka przy boku, którą rad byłby zaraz spróbował, boć przecie, choć drewnianą, nauczył się niezgorzej robić jeszcze w Niewdźydowej Woli. Tak ustrojony, czuł się zadowolonym. Niemniej jednak tak dwór jak i pan jego dziwnym mu się wciąż wydawał.

— No, no, czy to wszyscy panowie tak sobie jak ten poczynają — myślał, patrząc na bezduszną twarz swego chlebobawcy.

— Toć matusia mówił, że oni pracują dla dobra kraju, że ja się przy nich czego nauczę... a tu co?...

— Eh, chyba nie wszyscy tacy—pocieszał się w swoim frasunku. Teraz więc, kiedy go doszedł już z daleka szum jakby rozkołysanego burzą lasu, gdy zobaczył ten tłum rozłożony pokotem na polu i ulicach przedmieścia, otworzył z podziwy usta i wsłuchał się w te zmieszane głosy, z których zrazu nawet słów dobrze nie mógł odróżnić.

— O Jezu, toć to na największym odpuszcie, ba i na jarmarku nigdy tyle ludzi nie bywa — pomyślał sobie.

A wrzeszcza! — dodał, wsłuchując się z upodobaniem.

Lecz pan Fortunat Próźnołęcki, nie mogąc się przez te tłumy przecisnąć i nie widząc dla siebie przygotowanego schronienia, wydał policzki i sarknął z niezadowolaniem:

— Ta czereda, jak widzę, nie rozumie kto jedzie i z drogi ustąpić nie myśli!

— Miłościwy starosto, znajdzie się miejsce godne jego osoby — pocieszał podskarbi.

Nachyliwszy się zaś do ucha starosty dodał:

— Niech jaśnie wielmożny starosta będzie ostrożny, jak usłyszą „czereda” mogą nas poturbować, a siła ich przecie!

Uwaga poskutkowała, bo pan Fortunat spojrzawszy na obszerne pole, zasłane biwakującymi przy rozłożonych ogniskach, zmiękł jakoś od razu.

Rzucił tylko wymówkę.

— Czemużeś zajazdu nie zamówił?

— Zrobi się to, zrobi — rzekł podskarbi, oglądając się tymczasem, gdzieby można na polu znaleźć miejsce dla wozów i całego taboru.

— Zresztą — dodał — gdy się rozłożymy jak inni, zyskamy popularność u szlachty; boć nawet i wielu potentatów, co w sejmie radzą, pod namiotami siedzą — dodał Stępka, umiejający się z każdego terminu wykręcić.

— Hm, hm — chrząknął Próźnołęcki.

I dodał:

— Rzecz, — żeby mieć namiot.

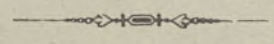
— Namiot zabrałem, a nie gorszyć chyba od innych.

W skarbcu jaśnie wielmożnego starosty niczego nie brak — dodał, mrugając oczami.

— A tak, tak pozostałości różnych po praojcach nagromadziło się niemało! — odparł pan Fortunat, polectany pochlebstwem podskarbiego.

Tak zaś wniósł w siebie wielkość swego rodu, iż zdawało mu się, że to wszystko co odziedziczył po ojcu, było ich rodową spuścizną.

(d. c. n.)



Kopalnie soli w Wieliczce.

S miejscowości tak osobliwe i pełne takiego tajemniczego czaru, że ich żadne pióro nie opisze. Trzeba tam być i własnym okiem obejrzeć te dziwy. Do takich osobliwości należą słynne kopalnie soli w Wieliczce pod Krakowem, których wnętrze, zwłaszcza przy oświetleniu elektrycznym, zdaje się być urzeczywistnieniem najfantastyczniejszych baśni o brylantowych górach, dolinach perłami zasianych lub pieczarach o nieprzebranych skarbach. Bo i prawda, że znajdują się tam skarby, skarby stokroć cenniejsze nad złoto, srebro i drogie kamienie, bowiem sól, to konieczna przyprawa do pożywienia człowieka, bez której obejść się nie może, gdyż stanowi jedną ze składowych części krwi jego.

W podziemiach Wieliczki pracuje setki lat wytrwała ręka górnika; z pomocą kilofa i młota rozbijał i wynosił on

na powierzchnię ziemi twarde bryły tego cennego materiału, wytworzywszy przez to ogromne puste pieczary i korytarze, które ciągną się w głębokości do 1000 stóp pod ziemią. Całość tych kopalń zajmuje około 4 wiorst długości i 1/2 szerokości a dzieli się na kilka pięt; leżących jedne pod drugimi. Na powierzchni nad kopalnią, wznosi się miasteczko Wieliczka, zamieszkałe głównie przez górników i urzędników, odległe od Krakowa tylko o milę, tak, że wycieczka koleją jest tam nader łatwa.

Kopalnie owe mają dawną, sięgającą w odległe czasy historię ubarwioną licznymi podaniami. I jakkolwiek starzy kronikarze nasi wspominają już w XI i XII wieku o żupach solnych w kraju, niemniej przeto podania przypisują zasługę odkrycia soli w Wieliczce św. Kunegundzie czyli Kindze, córce króla węgierskiego Beli, zaślubionej w 1239 roku Bolesławowi Wstydliwemu.

Podajemy tę piękną legendę w formie poetycznej, w jaką ją ubrał poeta Adam Górczyński.

WIANO KRÓLEWNEJ.

Głosne po całym Peszcie nowiny:
Przybyli wielcy panowie,
Po ich odzieży poznać i mowie,
Z obcej że jadą krainy.

Wnet ich przybycia jawna przyczyna:
Księcia polskiego to posły
Wysłał ich Leszek, aby dla syna
Oblubienicę przyniosły.

Król Bela zasiadł w złotej stolicy,
Młodziuchny przy nim królewicz
A tuż królowna w ojca lewicy,
Kinga w orszaku swych dziewic.

Weszli posłowie, — schyleniem głowy
Oddali pokłon monarsze
I łacińskimi przemówił słowa
Poseł, co lica miał starsze.

Król Bela dobrą dał im odprawę
Tem się nie mało radował,
Ze mir z sąsiadem, krajowi sławę
I bezpieczeństwo rokował.

Więc do królownej czoło swe nagnie
I rzecze: „Boska w tem wola,
Bolesław ciebie za żonę pragnie,
Dobra z nim czeka cię dola.

I miła córo, w posagu tobie
Dam srebra siedm tysięcy,
Abyś w przystojnej była ozdobie
W tamtej stolicy książęczej.”

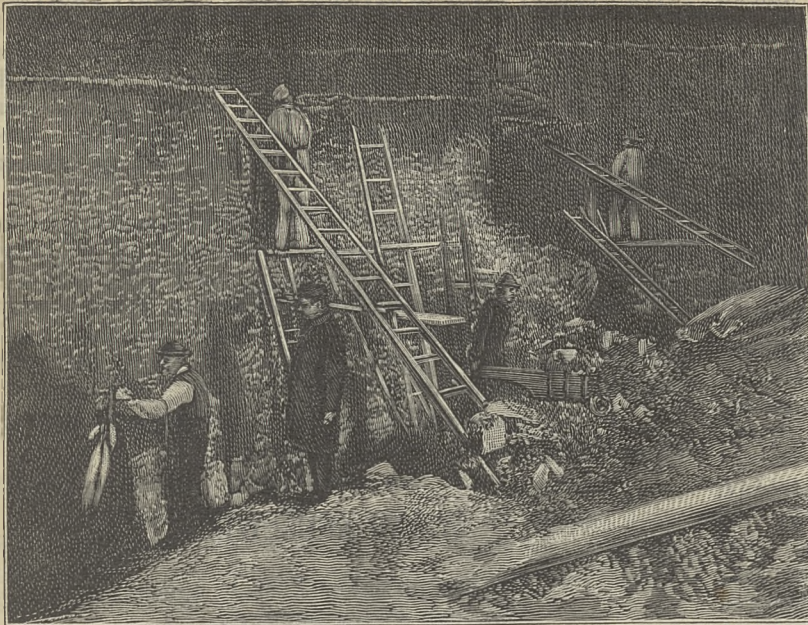
Umilkł i długo milczy królowna
Zdarzeniem zdziwiona nowem,
Niby chce mówić, niby niepewna,
Jakiem odezwać się słowem.

Aż wreszcie rzeknie: „Za ojca wola
Pójdę w tę ziemię nieznaną,
Lecz mi nie srebrem jaśnieć na czole,
Inne przysłało mi wiano...”

I wzywa posłów niechaj ogłoszą
Swojego kraju potrzeby;
Ci mówią: „Srebro obcy nam znoszą
Za nasze miody i chleby.

Garniem owoce z sadów i roli,
Ni nam żelaza nie braknie,
Na jednej tylko zbywa nam soli,
Ach, soli naród nasz łaknie!”

A Kinga: „Królu, jeżeli z wianem
Masz twoją wyprawic córę,
Z gór twoich solnych daj jedną górę,
Oddam ją moim poddanyń.”



Wieliczka. Górniczy przy pracy.

Król się zabawił taką przemową
I rzeknie „Dobrze, me dziecię,
Weź sobie górę, weź Stefanową,
W niej soli leży obficie.”

Na to królowa pierścień swój zdjawszy,
Daje ten posłu znak niby,
Aby w Stefana górze stanawszy,
Do solnej rzucił go szyby.

Rozkaz spełniwszy wraca do Budy
Pośel dumając: „Będzie miał król
I koszta wielkie i wielkie trudy
Wieżę do swych krain tę sól.”

Wraz się odbyły ślubne obrzędy
A Kinga z dziewic orszakiem
Na koniu strojnym w bogate rzędy
Polskim puściła się szlakiem.

A gdy przebyła góry i wody,
W mieście Wielicką nazwanem
Witał się z żoną Bolesław młody
Kinga z swym mężem i panem.

A odsłoniwszy dłoń rękawiczki,
Niby szukając pierścionka,
Rzecz: „Tu kopcie w rynku Wielicki,
Kopcie do zachodu słońka.

Bolesław lubo nie pojął zrazu
Tak niezwykłego życzenia,
Powtórzył słowa Kingi rozkazu,
Zalecił szukać pierścienia.

I lud jął kopać; worów niemało
Ziemi wyciągnął ze studni,
Gdy się motyka otarła z skałą
I kamień pod nią zadudni.

Po ciężkiej pracy już z głębokości
Na wierzch dobyta jest bryła.
„To sól!... — wykrzyknął naród z
[radości,

Bo solna skała to była.

Jeszcze się ludy temu dziwiły,
A Kinga znowu zaleci
Rozbijać bryłę i oto z bryły
Pierścień świecący wyleci.

I rzeknie pani: „Węgierski król
Srebra i soli jest panem —
Chciał córę z srebrnem wyprawić wianem,
Kinga prosiła o sól.

Król solną górę dał swojej córce,
Dzisiaj królowej Polaków
A Bóg rozkazał tej solnej górce,
By sól przesłała pod Kraków.

Składając Bogu dzięki powinne
Niech cały naród się szczyci:
Solą żywiły go kraje inne,
On odtąd drugich nasyci.”

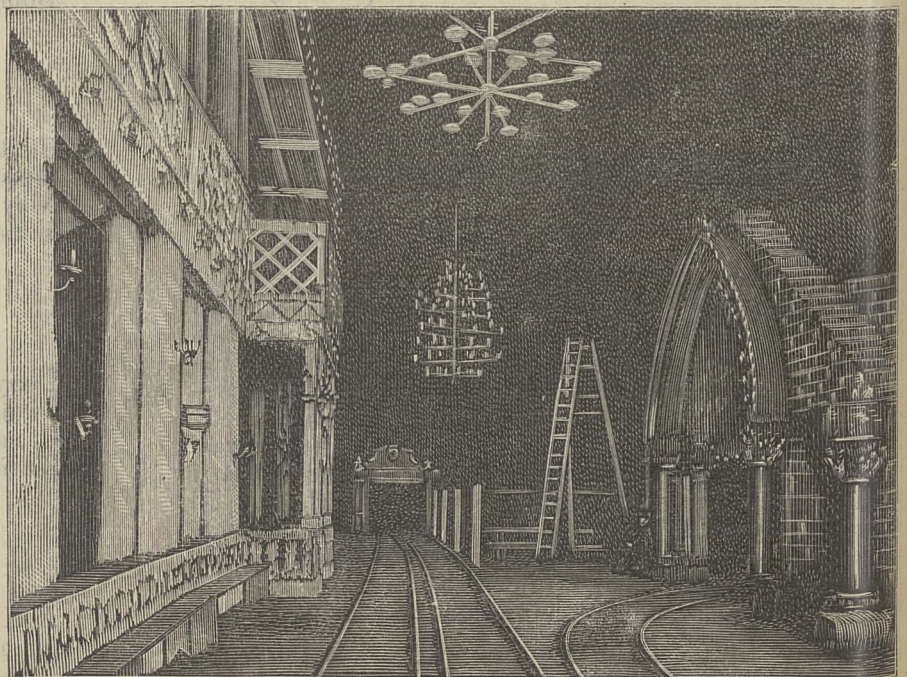
Historyczne wszakże dane nie zmniejszają
bynajmniej zasługi tej świętej pani, gdyż przed
jej przybyciem nie znano się jeszcze tak na gór-
nictwie, aby móżdź należycie korzystać ze skar-
bów ukrytych w głębi ziemi. Kinga, przybywa-
jąca z Węgier, zasobnych w sól kopalną, choć
w znacznie uboższych pokładach, gdzie przecież
górnictwo na wyższym stało już stopniu, powzię-
ła myśl szczęśliwą sprowadzenia ze swej ojczy-
zny zdolnych robotników, którzy wkrótce niezna-
ne dotąd nikomu skarby odkryli.

Od niej więc rozpoczęło się dobywanie soli w Wielicz-
ce, które w XIV wieku za czasów Kazimierza Wielkiego
przyjęło charakter stały i prawidłowy, rozwijając się i do-
skonając coraz bardziej.

W roku 1773 kopalnie stały się własnością rządową
Austrii i posiadanie to zatwierdził w 1815 roku Kongres
wiedeński.

Obecnie należy Wieliczka do rzędu pierwszych w Euro-
pie, a bodaj i na całej kuli ziemskiej, kopalni soli kamiennej,
zarówno ze względu na swą rozległość i bogactwo, jako też
dla wspaniałości dokonanych tam robót podziemnych. Dla
przewożenia wagoników z solą, urządzoną została tu kolejka
żelazna, licząca już około 25 wiorst długości, a wagoniki
ciągną konie, jak przy tramwajach. Konie te, raz dostaw-
szy się do wnętrza ziemi, już nigdy światła dziennego nie
oglądają.

Zaopatrzone w młoty, kilofy i drągi, kliny i inne na-
rzędzia żelazne, rozbija górnik przy świetle kaganków twar-
dą skałę, krusząc cenne bryły; ale choć namozoli się ciężko.



Wieliczka. Stacja kolejki na 3-cim piętrze

praca jego obfity plon wydaje. Niekiedy też większe masy solne wypadają rozsadać prochem strzelniczym i huk, który przytem powstaje, odbija się echem po całej podziemnych sklepien przestrzeni.

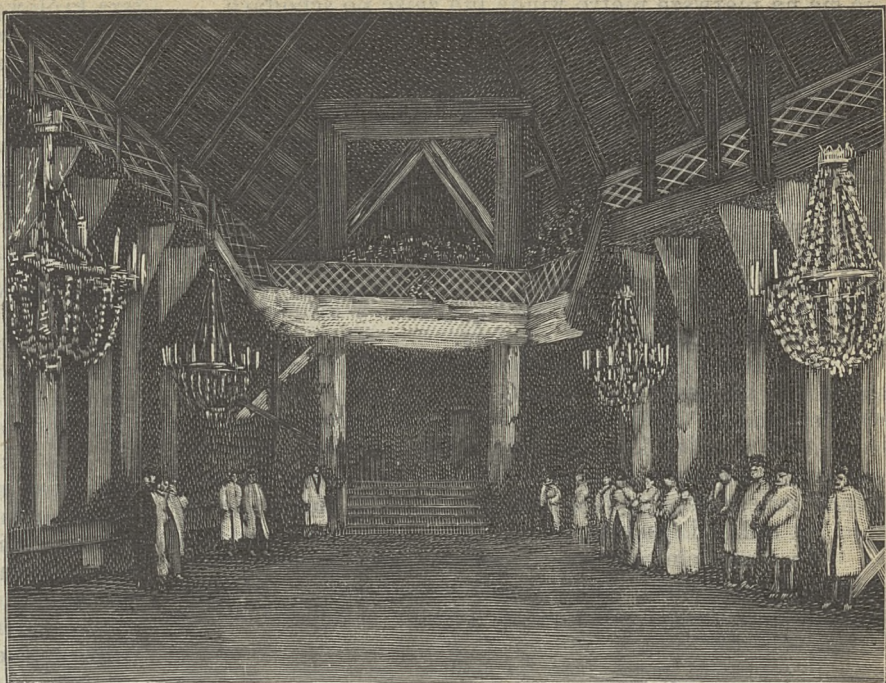
Dobyta w niższych piętrach sól, wina się na wyższe, gdzie jest kolejka, potem za pomocą wind dostaje się do składów. Dzień roboczy trwa tu 8 godzin, poczem wszyscy oprócz kilku dyżurnych opuszczają kopalnię, ulegając przy wyjściu ścisłej rewizji przez urzędników państwowych, aby i najmniejsza ilość soli ukryta nie została.

Trzy są główne gatunki soli, a leżą jeden pod drugim w pokładach przedzielnym iłem solnym, gipsem i antychrydem.

W górnych więc warstwach leży *sól zielona* czasami z odcieniem czerwonym, składająca się z kryształków grubego ziarna, zwana też dla tego ziarnistą; jako mniej cenna, przeważnie dla bydła i owiec używana. Poniżej *sól szpinu*, przedstawiająca podługne kryształy, ta, która jako sól kuchenna w ogólnym bywa użyciu, — wreszcie najgłębiej *sól szybkowa*, drobnoziarnista, z której odmiany o przezroczystości nieledwie bezbarwnego szkła, wyrabiają górnicy drobiazgi pamiątkowe jak: małe obeliski, krzyżyki, kostki, pierścionki i t. p., nabywane chętnie przez zwiedzających.

W miarę jak się rozszerzały kopalnie, otwierano nowe szyby czyli otwory, i obecnie Wieliczka wraz z sąsiednią jej Bochnią liczy ich 74.

W szybie Danilowiec znajduje się obszerna, wprowadzona w ruch siłą koni winda, którą robotnicy zwykli się spuszczać do głębin, lecz służy ona również zwiedzającym saliny, którzy w ten sposób przebywają 30 sążni w parę za ledwie minut. Do innych szybów, oraz na niższe piętra, aż



Wieliczka. Sala balowa.

do samego dna żupy, prowadzą schody częścią szeroko w kamieniu solnym wykute, częścią z drzewa zbudowane.

Głównych pięter takich jest trzy jedno pod drugim, a liczne ich komory, sale i korytarze tworzą istotny labirynt, grożący zbłąkaniem każdemu, kto by bez przewodnika ośmielił się tam zapuścić. Pod nimi w znacznej jeszcze głębokości prowadzą się roboty na kilku piętrach, do których zwiedzający nie bywają dopuszczani.

Żupy Wieliczki należą względnie do najsuchszych, gdyż wewnątrz prawie żadnym nie mają źródeł, a z powierzchni ziemi przez pokłady piasku i gliny przesączająca się woda, niekiedy w znacznej nawet ilości, zbierana bywa osobnymi kanałami w obszerne jezioro *Przykos* zwane, na 86 sążni pod ziemią leżące, a mające 21 stóp głębokości, po którego powierzchni wolno zwiedzającym odbyć wielce oryginalną przejażdżkę na promie.

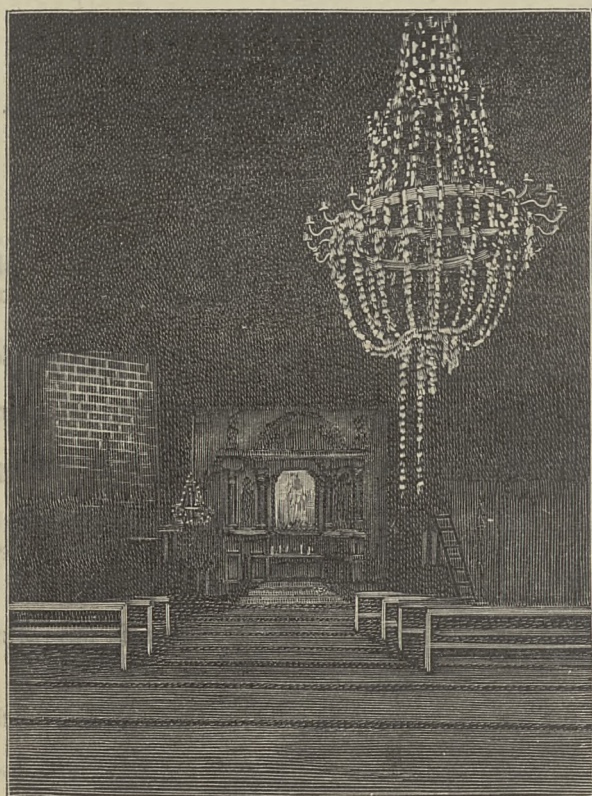
Owa niezmierna głębina kopalni wyda się może niejednemu niebezpieczną, lecz wszelkie obawy zawalenia się ziemi uważać możemy za płonne, w obec zachowanych ostrożności, bo na wyższych piętrach grube filary, pozostawione z kamienia solnego, podpierają sklepienia, a ściany wielu sal wyłożone są grubymi palami drzewa; w dolnych zaś piętrach roboty prowadzone są w ten sposób, że ściany ich oraz filary znajdują się prostopadle pod ścianami i filarami pięter wyższych.

Zdarzały się jednak w kopalniach wielkie katastrofy, mianowicie trzy pożary w r. 1570 1644 i 1815,, oraz zalew w 1868 r. Poczyniły one wielkie szkody i pozbawiły życia kilkuset ludzi.

Temperatura w podziemiach jest stale równa, łagodna, a powietrze zdrowe; galerye bowiem w tak dobrem względem siebie są położeniu, że powietrze wewnętrzne zostaje w ciągłej łączności z zewnętrznym. To też nie mają tu miejsca wypadki wybuchów gazów, uduśnienia i t. p. tak często zdarzające się w innych kopalniach, zwłaszcza węgla.

Najlepiej jest zwiedzać kopalnię w dzień, kiedy zarząd urządza iluminacyę, bo wówczas kosztuje to daleko taniej i w rześkiem oświetleniu najwspanialej podziemia wygląda. Dla małej ilości zwiedzających nie urządza takiego oświetlenia, chyba, że ktoś zechce ponieść koszt, wynoszący od 50 do 100 guldenów według klasy.

Główne wejście znajduje się w samym środku miaste-



Wieliczka. Kaplica.

czka w wielkim gmachu zarządu. Zwiedzający mogą spuścić się na pierwsze piętro windą lub zejść po schodach.

Na pierwszym piętrze, w szybie Górsko, znajduje się kaplica pod wezwaniem św. Antoniego, w której kapelan kopalni codziennie, przed rozpoczęciem pracy górników Mszę św. odprawia. Wszystko tu jest z soli: ściany, ołtarz, posagi SS., kolumny, ambona, nawet zdobiące świeczniki przyzny, które wyglądają jak kryształowe.

Na temże piętrze jest wspaniała sala Łętów, *balową* także zwana, z galerią dla orkiestry, wspartą na lśniących słupach skryształizowanej soli, z gładką drewnianą posadzką. Służy ona za wypoczynek po skończonem zwiedzaniu salin, a czasem odbywają się tu tańce, w których biorą udział zarówno górnicy jak i goście.

Z pierwszego piętra schodzi się na drugie (licząc naturalnie w kierunku wstecznym) po wspaniałych kryształowych schodach. Główną osobliwością drugiego piętra jest największa w całej kopalni sala Michałowicka, odznaczająca się wyraźnem i donośnem echem. Ze środka jej sklepienia zwiesza się pajdak o 300 świecach, a ściany wyglądają jak tafła z kryształu.

Na trzeciem piętrze najwięcej zaciekawia stacya kolejki, przy której znajduje się nawet bufet, oświetlony elektrycznością, oraz staw, o którym wspominaliśmy wyżej.

Przeprawa przez staw na promie po wodzie czarnej jak noc, pod sklepieniem pieczary zostaje w pamięci na zawsze. Lecz nierównie silniejsze jeszcze sprawia wrażenie, gdy górnicy, spuszczać się windą, z gorejącemi pochodniami śpiewają pieśni, które w tysiącznych echem rozbrzmiewają po całej kopalni.

Z rycin, jakie załączamy do tego pobieżnego opisu, pierwsza przedstawia górników przy pracy, druga salę balową, trzecia kaplicę Św. Antoniego, ostatnia wręcz stacyę kolejki żelaznej; lecz słabe tylko dać one mogą wyobrażenie o dziwach i czarach Wieliczki. Na zakończenie przytaczamy ustęp z opisu wycieczki do salin Klementyny z Tańskich Hofmanowej:

„W kopalniach Wieliczki wszystko odmienne, a wszystko jednostajne. Natura wszędzie tak rozmaita, tu zawsze taż sama. Światło słońca nigdy tu nie dochodzi, pory nigdy się nie zmieniają. Czy na ziemi dzień jasny, czy noc ponura, czy wiosna lubym tehem wionie, czy skwar słoneczny dopieka, czy dżdże jesieni wskroś przejmują, czy mróz ściał wszystko... tu zawsze głębokie ciemności, światłem tylko lamp i kagańców rozjaśnione. Na ziemi tyle niezliczonych przedmiotów, tu jeden — wiecznie jeden: wszystko co widzisz, czego się dotkniesz, po czem stąpasz, jest — sól. Te ściany ogromne, te korytarze długie, te filary wspaniałe, te schody niezliczone, te stopy był i beczek, te góry okruchów — wszystko z soli!”

Mimo wszakże szczerzego zachwyty skoro opuścimy te głębie, widok dziennego światła, powiew świeżego powietrza sprawiają nam nieznaną dawniej rozkosz, a podwójnie staje się nam miły błękit nieba, zieloność roślin i każdy najmniejszy objaw życia w naturze.

M. D.

POCAŁUNEK KRÓLOWEJ.

XXI jednym z miast prowincjonalnych angielskich, zmarła w tym roku pewna staruszka, licząca przeszło 95 lat wieku, która cieszyła się wielkim szacunkiem u swoich sąsiadów. Nazywano ją zawsze: „stara pani, która ucałowała królowę za szylinga,” gdyż w samej rzeczy ucałowała ona królowę Wiktorję w oba policzki za cenę szylinga, co wynosi około 45 kop.

A było to tak: w 1821 roku księżniczkę Kent (późniejszą królowę), liczącą zaledwie rok jeden życia, piastunka wносиła w piękne dni letnie do parku w Richmond. Pewnego dnia spotkała ją pensya panien, z których jedna, mieszkająca w pałacu, poznała małą księżniczkę. Zaraz wszystkie panienki otoczyły piastunkę z prośbą, aby im pozwoliła ucałować dziecinę.

— Pozwól nam złożyć pocałunek na tych różowych policzkach, a za każdy damy ci po szylingu — zawołała jedna.

Piastunka zgodziła się, i powróciwszy do pałacu z pocałunką sumką, rozpowiedziała o całym wydarzeniu. Wywołało to wielką burzę. Księżna matka posłała natychmiast lekarza do pensjonatu, aby się dowiedzieć o zdrowiu tych zbyt natrętnych wielbicielek księżniczki. Panienki dostały surową burę, a księżę Kent, gromiąc zapłakaną piastunkę, rzekł do niej:

— Przebaczam ci tym razem, bo co do mnie, nie widzę w tem nic złego, że się tak zachycają moją córeczką. To najpiękniejsza dziecina na ziemi. Ale niemądra jesteś, żeś tak tanio odstąpiła prawo do całusu. Trzebu było żądać przynajmniej po gwinei (21 szylingów) — dodał ze śmiechem.

Panienki z pensyi dla upamiętnienia tego wydarzenia złożyły rodzaj kółka przyjacielskiego pod nazwą „Towarzystwa pocałunku królewskiego.” Kiedy księżniczka Wiktoryja Kent w 1837 roku wstąpiła na tron, towarzystwo posłało jej adres, w którym, przypominając się pamięci królowej, stowarzyszone napisały, iż były pierwsze z pomiedzy poddanych, które jej królewskiej mości hołd złożyły.

Później też we wszystkich ważniejszych okolicznościach życia królowej, towarzystwo tych byłych pensjonarek nie omieszkło nigdy przesłać monarchini adresu lub upominku, chociaż liczba towarzyszek zmniejszała się powoli. Nareszcie w tym roku, kiedy obchodzono uroczystość 80-tą rocznicę urodzin królowej Wiktorji, nie było już komu z tego towarzystwa przesłać swych życzeń i powinszowań, ostatnia bowiem staruszka rozstała się z tym światem na miesiąc przedtem.

PORWANIE BALONU.

ZDARZENIE Z WOJNY KUBAŃSKIEJ.

(Dalszy ciąg).

Juan popatrzał z wyrazem niepewności i nic nie odpowiedział. W chwilę potem obcy stał przy nas i rzekł, że należy do czterdziestego pułku liniowego, i przyniósł rozkazy od komendanta.

Pokazał niebieski papier. Juan wziął go i zaczął czytać. Potem podniósł wzrok.

— Więc jesteście tu przysłani, by objąć nad nami dowództwo? — zapytał.

— Tak — odpowiedział kapral — reszta ludzi przyjdzie jutro.

— Ilu? — Juan zapytał niedbale, odsuwając papier.

— Dziesięciu ludzi i jeden oficer z czterdziestego — rzekł kapral, spoglądając w około i spotykając się z moim wzrokiem.

Odwróciłem oczy. Po chwili milczenia kapral zaczął na nowo:

— Kto jesteście? — zapytał.

— Czuję, że do mnie mówisz. Udając, że ogień podżegam, nachyliłem się bardziej.

— Co on tu robi — rzekł głos kaprala, a ja czułem, że wskazuje na mnie,

Zołnierze dali żądane wyjaśnienie.

— Zbieg? Musi stąd odejść. Są na to rozkazy — rzekł szorstko kapral.

Podniosłem wzrok i zacząłem błagać.

— Musicie odejść — rzekł kapral. Ja także. Prędko marsz!

Próbowałem jeszcze się wykręcić, ale wyraz jego twarzy stawał się coraz zaciętszy, jego czarne oczy coraz groźniejsze. Musiałem ustąpić.

Gdy opuszczałem dziedziniec przez bramę, usłyszałem głośny rozkaz kaprała:

— Zamknąć bramę i oddać mi klucz!

III.

Znalazłem się w ciemnościach z rozpaczą w sercu. Nie wiedziałem czy śpię, czy jestem na jawie. Szedłem czas pewien i wpadłem do jakiejś jamy.

Czas długi leżałem tam zgnębiony.

Coś poruszyło się koło mnie, posłyszałem cichy szelest i pisk. Było to gniazdo szczurów. Zerwałem się z obrzydzeniem i ostrożnie stąpać zacząłem po trzeszczącej podłodze. Ręka moja natrafiła na mur. Omackiem doszedłem do drzwi, przez które przeszedłem po szczątkach cegieł, tynku i drzewa. Świeże powietrze owiało mi twarz. Zacząłem się wspinać ku górze i znalazłem się na otwartym powietrzu. Zatrzymałem się, aby posłuchać. Naokoło była cisza. Teraz poczułem kolanami szczeliny pomiędzy gontami dachu, po których wspinałem się coraz wyżej, gdy nagle spojrzałem na drugą jego stronę i ujrzałem dziedziniec z balonem. Znajdowałem się na dachu jednego z otaczających go budynków. W pewnej odległości mogłem widzieć czerwonawy ogień pod szopą. Trzy postacie leżały w jego świetle. Byli to kapral i dwaj żołnierze. Zdawało się, że śpią. Zresztą dziedziniec był pogrążony w mroku.

Dobyłem rewolwera. Jak się to stało, nie wiem, ale w tej samej chwili mój nóż kubański wysunął się z pochwy i upadł, szczęściem bez wielkiego łoskotu. Podniosłem go i spojrzałem uważnie; żołnierze jeszcze spali. Zimny dreszcz mnie przebiegł. Tak, muszę zejść na dziedziniec, zabrać broń żołnierzom i przeciąć linę.

Wziąłem rękojęść noża w zęby i zacząłem ześlizgiwać się. Nagle oderwała się jedna z dachówek, o którą opierałem się piętami, straciłem równowagę i spadłem na dziedziniec. Upadek był głośny. Zdawało mi się, że musiał obudzić żołnierzy. Ale tylko kapral lekko się poruszył, inni leżeli w tej samej pozycji, jak pierwej.

Przeczekałem kilka minut z bijącym sercem, potem obszedłem wzdłuż muru. Zbliżyłem się do nich coraz więcej. Wreszcie stanąłem na granicy kręgu światła, rzucanego przez ognisko. Gdybym wyszedł z cienia i chyłkiem dostał się do środka, mógłbym pochwyć ich karabiny.

Powstrzymałem oddech i jałem zbliżyć się na palcach do wzrokiem utkwionym w trzech leżących ludzi. Byłem już niedaleko od nich, gdy nagle rzekł głos ochryply: stój! albo mierć!

I opierając się na łokciu, pomiędzy dwoma żołnierzami, kapral skierował ku mnie flintę. Jak gdybym ujrzał widowitego węża, cofnąłem się mimowolnie.

— Trzymasz z Kubańczykami? — zapytał kapral — w imię jesteście ich szpiegami?

— Mów ciszej, jeśli obudzisz jednego z żołnierzy, wybrzmiała moja rozpaczliwa odpowiedź.

— Odpowiadaj! — rozkazał kapral, szepecząc.

— Jestem Yankesem — wyrzekłem.

Kapral podniósł się z ziemi.

— Więc jesteście przyjacieli — rzekł nagle. — Nie sz mi? Patrzaj, ci dwaj ludzie nie żyją.

Na końcu strzelby poruszył obu żołnierzy, którzy nie mieli nawet.

Zrozumiałem rzecz całą. Kapral był przebrany w ciemnym. Rozkaz który przedstawił żołnierzom, był

prawdopodobnie sfałszowany; przybył z tym samym, co ja zamiarem, aby odciąć lub zniszczyć balon. Zrazu, biorąc mnie za co się podawałem, to jest za prawdziwego zbiega, który mógł utrudnić jego zamiary, kazał mi iść precz. Śmierć żołnierzy musiała nastąpić właśnie wtedy, gdy wspinałem się po dachu. Podejrzany hałas mego upadku skłonił go do nieruchomości aż do chwili, gdy się zbliżyłem do światła, a on skierował karabin ku mnie.

— Domyśliłem się po ostrożności, z jaką się zbliżałeś, że należysz do nas — rzekł.

Ukryci byliśmy pod szopą i prowadziliśmy naszą rozmowę prędko i szeptem, aby człowiek w balonie nie powziął podejrzeń. Śmiały plan przyszedł mi do głowy, gdy kapral rzekł, iż pora zabrać się do roboty.

— Zatrzymaj się chwilę! mam pomysł — zawołałem. — Jest nas dwóch. A tam w górze jest tylko jeden... Tak... gdybyśmy balon sprowadzili na dół... i uciekli na nim?

Kapral spojrzął na mnie zamyślony.

— Jesteś dzielnym człowiekiem — rzekł, salutując.

— Chodź — odrzekłem. — Ale posłuchaj, chcę zdobyć balon bez zabijania człowieka, chyba w ostatecznym razie.

Kapral wyglądał zaniepokojony.

— Dla czego? — rzekł — byłoby tak łatwiej.

— Nie chcę morderstwa — rzekłem poprostu.

Moja stanowczość zrobiła wrażenie.

— Jak chcesz — odrzekł kapral, wzruszając ramionami.

Opuściliśmy szopę z blaskiem ogniska, zaczęliśmy iść wśród ciemności do miejsca, gdzie znajdowała się winda.

— Gdzie jesteś? — wyszeptalem teraz.

— Tędy, tędy — odpowiedział kapral z prawej strony.

— Znalazłem — odrzekłem.

Kapral zbliżył się do mnie i ujęliśmy żelazną korbę.

— Ostrożnie — rzekłem, patrząc z wyteżeniem w górę.

Zaczęliśmy obracać korbą. Z początku lina zwijała się z łatwością i cicho. Zdawało się nam, że ściągniemy balon w ten sposób, iż ten co się w nim znajdował, nie spostrzeże tego wcześniej. Wyrziliem tę nadzieję kapralowi, zapominając, że balon w miarę zbliżania się do ziemi, napotka większy opór powietrza. Niebawem też korbą zaczęła obracać się z coraz większą trudnością i skrzypieniem.

— Usłyszysz — szepnął kapral, jego lewa ręka sięgnęła po karabin.

— Obracaj prędzej — rozkazałem groźnie, mówiąc mu prosto do ucha, wypatrując balonu.

Ogień na lewo oświecał ciała dwóch zeszywniałych żołnierzy. Oprócz trzeszczenia windy, milczenie panowało na dziedzińcu. Nagle poczułem mocne bicie serca; czy było ono spowodowane światłem migającego ognia, czy szmerem w ciemnościach, nie wiem.

— Zdaje mi się — rzekł kapral — zdaje mi się, że usłyszałem...

Zatrzymał korbę.

Był to szelest jedwabiu balonu, którego lódka ześliznęła się tak niepostrzeżenie, iż ją nasze ręce już dosięgnąć mogły.

Byłem o tem przekonany pomimo ciemności. Czas działania nadszedł.

— Słuchaj — rzekłem do kaprała.

— Zrozumiałem — rzekł.

W sekundę znalazłem się w łódce i przyłożyłem rewolwer do głowy śpiącego człowieka.

— Co to! kto to! — wybełkotał, budząc się tenże.

— Milczeć! Zwiąż go i zaknebluj usta! — rzekłem do kaprała, który wszedł za mną.

Zrobiliśmy to szybko. Podnieśliśmy więźnia i rzucili na ziemię.

Kapral oddychał głęboko.

— Prędko noż! — rzekłem do kaprała.

I z całej siły zacząłem ciąć w linę, aż przerwałem ją nareszcie. Powoli z ciemnego kwadratu dziedzińca zaczęliśmy wznosić się ku gwiazdom.

(d. n.)



Z E Ś W I A T A.

Historyczna papuga.— Wychowanie książąt.— Raj zwierzęcy.

Że niektóre gatunki papug żyją bardzo długo, wiadomem jest ogólnie, rzadko jednak zdarza się, aby długowieczność ich złączoną była do pewnego stopnia z wypadkami historycznymi, jak to właśnie miało miejsce ze sławną w Anglii papugą imieniem Ducky, która zakończyła niedawno swój żywot w wieku 182 lat, nie okazując do ostatka ani upadku siły, ani osłabienia zmysłów, tych ogólnych następstw późnej starości.

A był to ptak zarówno piękny z koloru, jak zadziwiający pojętnością i nadzwyczajną łatwością naśladowania mowy ludzkiej.

Ojczyzną Ducky była Kolumbia czyli Nowa Grenada, skąd przywieziono ją do Anglii w 1783 r. Nabył ją ówczesny pierwszy minister Pitt, który następnie w 1800 roku ofiarował ją królowi Jerzemu III. Po śmierci tego króla, stała się Ducky przedmiotem ogólnej troskliwości w pałacu Saint-James, w Londynie, a szczególnie ulubienicą księcia Albrechta, męża królowej Wiktoryi.

Mimo tego wszakże wydaloną została z królewskiego pałacu, jako szpieg niebezpieczny, chociaż mimowolny; łatwością bowiem, z jaką powtarzać zwykła raz usłyszane rozmowy, zdradzała niejedną tajemnicę polityczną, lub rodzinną.

Na miejsce wygnania przeznaczono jej Windsor, rezydencję królewską, gdzie stale przebywa garnizon wojskowy. Nowe towarzystwo nie korzystnie oddziało na dobry ton biednej Ducky, która wkrótce przyswoiła sobie wyrażenia niezgodne z etykietą dworską, i już miano usunąć ją dalej jeszcze, gdy księżna Walii wzięła ją pod swą opiekę do pałacu Sandringham, i tam już do ostatniej chwili życia, ciekawa papuga używała spokoju i wygody.

Wychowanie książąt i księżniczek w ich latach niemowlęcych jest na wszystkich dworach panujących mniej więcej jednakowe; dopiero od lat sześciu zmienia się metoda wychowania odpowiednio do kraju i jego obyczajów.

Na dworze austriackim arcyksiężna Zofia, matka

obecnego cesarza, wprowadziła nowy system wychowawczy, podług którego nie tylko wychowywała swe dzieci, lecz i wnuki. Na dworze tym kwitły bardzo nauki różnych języków. To też kiedy cesarz Franciszek Józef starał się o rękę księżniczki Elżbiety bawarskiej, zaczęła ona zaraz brać lekcye języków: włoskiego, węgierskiego i czeskiego. O postępkach w nauce zdawano raport cesarzowi. Z kolei też cesarzowa Elżbieta kształciła córki swoje w wielu językach. Arcyksiężna zaś Stefania każe córkę swą, arcyksiężniczkę Elżbietę, uczyć tylko języków: francuskiego i węgierskiego.

Na dworze niemieckim cesarz Wilhelm pilnie śledzi postępy w naukach swych synów i jest w tym względzie dla nich bardzo surowym. Na niemieckich dworach książęcych coraz częściej obecnie jest w zwyczaju, że księżniczki uczą się gospodarstwa domowego i sztuki kucharskiej. Niemiecka cesarzowa, Augusta, jako księżniczka Szlezewigu-Holsztyn, uczyła się gotowania, a krawiecczyźnie oddaje się teraz z upodobaniem. Wielka księżna badeńska, jedyną swą córkę, księżniczkę Wiktoryę, żonę następcy tronu szwedzkiego, wychowywała podług zasady, że „kobieta tak w pałacu, jak i w chacie, powinna być pracowitą gospodynią i dobrą kucharką.”

Księżniczki angielskie oddają się z zamiłowaniem nauce pielęgnowania chorych. Nauka ta jest teoryczną, ilustrowaną specjalnymi rysunkami. Księżna Walii uczyła się nawet rękodzielnictwa, mianowicie oprawiania książek. Również i każdemu z dzieci swych, oprócz innych nauk, każe uczyć się jakiegoś rzemiosła.

Królowa holenderska jedyną córkę swą Wilhelminę, obecną królową, kazała uczyć wszystkiego, nawet prania białizny. Wielką przyjemnością dla młodej księżniczki było pracować samej swę koronkowe chusteczki, szmizetki i prasować je. Księżniczka uczyła się też robienia koronek, lecz do mozolnej tej pracy nie miała dość cierpliwości i zamiłowania.

W jednej części berlińskiego ogrodu zoologicznego, za małą opłatą, podziwiać można nadzwyczajne widowisko, zwane „rajem zwierzęcym.” Wśród skał tekturowych, ustawionych na wielkiej przestrzeni w kształcie dekoracyj sztucznych wzgórków i roślin, przechadzają się zwierzęta w liczbie dwustu, należące do najrozmaitszych gatunków. Pomiędzy królami pustyni — lwami, drapieżnymi tygrysami, zwinnymi panterami zwijają się maleńkie króliki. Obok olbrzymiego z ogromnemi kłami doga, toczy się para kaczek; słoń miarowo wymachując trąbą, dobrotnie spogląda na perliczkę, a hyena wyciąga się leniwie obok smukłej o poczciwym wejrzaniu antyloпки; wielbłąd miarowym krokiem przechadza się między pelikanami, a dumny orzeł siedzi na odlamie skały obok kózki alpejskiej. W pośród tej całej gromady przechadza się człowiek bez żadnej broni, rozumem tylko spojrzeniem utrzymując porządek. Ciekawemu widowisku przypatrują się setki osób z umyślnie w tym celu wybudowanej trybuny, podziwiając owo zbratanie się gatunków zwierząt i zgodę pomiędzy najłagodniejszymi i krwiożerczemi.

Przypominamy o wczesnem ODNOWIENIU PRENUMERATY na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce Pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zlr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRESC: Kwiaty, wiersz przez Józefa Jankowskiego. — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów p. Z. Morawską. — Kopalnie soli w Wieliczce (z ryc.) — Pocałunek królowej. — Porwanie balonu (c. d.) — Ze świata. — Dodatek: Majowy poranek (z ryc.) — Węglarz przez I. M. — Babunia, wiersz przez E. Lejową. — Skrzydła odwagi (c. d.) — Łamigłówni i roznieżania. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marréné.

WIECZORY RODZINNE

MAJOWY PORANEK.

II.

Jak będę duża — mówi Dorka — to poproszę mamusi, o całą wielką grzędę; nasieję na niej lnu, nasadzę kukurydzy, słoneczników i narcyzów.

Kukurydzę zjem zaraz w lecie; len będę w zimie przędła przy kominku; słonecznikiem nakarmię „czubatkę,” a narcyzy będę wachała.

— A ja, jak dorosnę — powiada Lolo — poproszę tatki o cały folwark. Nasieję owsa dla siwka, nasadzę kartofli do pieczenia w lesie i dużo kapusty dla zajęcy.

Wiesz, będę miał całą stajnię zajęcy, a jak który niechący zdechnie, to go każę wypchać i w pokoju posadzę.

Manię wezmę na gospodynię, bo ona się na wszystkim zna. Oho! ja już wtedy będę miał wasy...

— A ja — przerywa Dorka — długą suknię z trenem. Jak ją tylko pierwszy raz włożę, zaraz do ciebie z pierwszą wizytą przyjadę. Ty wychodzisz i nie poznasz mię.

Co to za pani? pytasz. A ja dopiero w śmiech, ha, ha, ha!

— Niania upiecze nam kurcząt — mówi Lolo — i zrobi całą salaterkę mizery!

Dorka smakuje już naprzód obiecane przysmaki, potem opłukane rzodkiewki na wiązki liczy: 1, 2... ośm... zdaje mi się, że już będzie, prawda?

— Zapewne, takie duże — odpowiada Lolo — i chwilowo milczą oboje.

Od niedalekiej studni słyhać skrzyp zórawia i beczenie młodych owieczek, to znowu krzykliwe pentarki odzywają się z za parkanu i indor gulgoce.

Nad głowami dzieci przeleciały lśniące gołębie o różowych dziobkach.

Na widok ich Lolo się odzywa:

— Wiesz ty, co ja słyszałem od niani?

— A co? co takiego?

— O jakaś ty zaraz ciekawa.

— Przecież do mnie mówisz.

— No, to czekaj spokojnie... oto widzisz...

— Ja widzę tylko rzodkiewki.

— No, to więc słuchaj. Jak niania służyła u jednej pani, to raz do tego dworu przyniósł człowiek młodego gołąbka ze złamanem skrzydłem.

Ten gołąbek był szary, leśny, zupełnie dziki gołąb.

Pani kupiła gołąbka, ale nie kazała go zabić, tylko obejrzała mu skrzydełko, posmarowała tłuszczem, podwiązała płótnem i w okrągły koszyk z sianem włożyła.

Po dwóch tygodniach gołąbek wyzdrowiał i zaczął

fruć. Najpierw po jadalnym pokoju, gdzie sypiał, potem na dachu usiadł, a jeszcze potem na ogród wyleciał.

Z ogrodu zalatywał na pola, do lasu i zawsze na noc do koszyczka wracał. Aż raz..

— Kot go zjadł! — wykrzyknęła Dorka.

— Nie... on sam odleciał i już na noc nie wrócił.

Nie było go ze trzy tygodnie, aż znowu przylatuje, ale nie sam. Wiesz co zrobił?

Przyprowadził ze sobą drugiego gołąbka chorego na skaleczoną łapkę.



Ot, tu go bolala w samej kostce... I Lolo trzymając nogę na brzegu opałki, tak silnie nią poruszył, że naraz i opałka rzodkiewek pełna, i wiaderko z wodą, i zasłuchana Dorka, i on sam wreszcie, zmieszani razem, zachwiali się i upadli.

Lekki, biały kapelusz odfrunął o pół kroku, ale cięższa główka Lola prosto w wiadro stuknęła.

Biedny gołąbek!

A. Z.

WĘGLARZ.

Władzio ubrany w papierowe czako, z fuzyjką przewieszoną przez ramię, bawił się w żołnierza. Nagle drzwi od kuchni uchyliły się i pokazała się w nich jakaś uczerziona twarz, na widok której Władzio z okrzykiem prze-

strachu schronił się za fotel ojca, czytającego gazetę w tym samym pokoju.

— Wstydźże się Władku — zgromił go ojciec — bawisz się w żołnierza, a uciekasz przed biednym węglarzem? Ot, to dopiero zuch z mojego syna!

— Tatusiu, kiedy ten człowiek tak strasznie wygląda: taki cały czarny, a zęby ma takie białe...

— Musi być czarny, skoro przez dzień cały ma do czynienia z węglem, z którego proch osiada mu na twarzy i rękach. Gdyby nie było węgla i węglarzy, nie mielibyśmy czem palić w piecach.

— A drzewo?

— Drzewa wkrótce zabrakłoby na ziemi, gdyby niem wszyscy ludzie palić zaczęli. Lasy rosną powoli, a niema ich już tak dużo, trzeba je więc oszczędzać. A czy wiesz skąd się bierze węgiel?

— Widziałem, jak kucharka brała go z worka, a węglarz pewnie przynosi ze składu.

— Zgadłeś odrazu — roześmiał się ojciec — ale trzeba przecież pomyśleć skąd się węgiel bierze w składzie. Otóż węgiel, podobnie jak np. żelazo albo sól, wydobywa się z głębi ziemi. Nazywamy go: węglem kamiennym, dla odróżnienia od węgla drzewnego, który powstaje z niedopalonego drzewa. Węgiel kamienny jest od drzewnego o wiele twardszy i cięższy; spalając się, daje bardzo dużo ciepła i dla tego jest nam bardzo pożyteczny na opał; ale chcąc palić węglem, trzeba mieć piece osobno do tego zbudowane, nie zasuważące się nigdy od góry, a z dołu dobrze zamknięte, bo węgiel przy paleniu wydaje z siebie czad, bardzo niebezpieczny, którym się można na śmierć zadusić.

— O, ja wiem; raz otworzyłem tylko drzwiczki od pieca i stałem chwilę przed niemi, to mnie zaraz głowa rozboleła; ja wolę drzewo, tatusiu.

— Nie pogardzaj węglem, bo oddaje on nam jeszcze inne usługi. Są fabryki, gdzie prażą ten węgiel i wydobywają z niego gaz, który się pali bardzo jasno i służy do oświetlania ulic.

— Co, doprawdy? ten gaz, który się pali w latarniach miejskich, to się robi z węgla?

— Nieinaczej; mógłbym ci jeszcze opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy o węglu, ale zaczekam aż trochę wyrośniesz i zmądrzejesz.

— Tatusiu, a kiedy to będzie?

— Gdy mój synek przestanie bać się węglarzy, kominarzy i wszystkich choć czarnych, ale znacznych i pożytecznych ludzi — rzekł z uśmiechem ojciec.

Ir. M.

Babunia.

Nasza babunia ma główkę białą.

Ha! bo już stara; — ktoś może doda.

Jednak z nas każde powtórzy śmiało:

Że ona zawsze piękna i młoda.

A wiecie państwo, czem się to dzieje?

Przyznajcie, bo to prawda bezsprzeczna:

Że dobroć nigdy się nie starzeje,

A babcia taka dobra, serdeczna. —

Nigdy w jej oku gniew nie zapłonie;

Przy swej powadze, przy swym rozumie, —

Kiedy w maluczki bawi się gronie,

Dla nas, swych wnucząt, dzieckiem być umie.

Takie nam śliczne bajki powiada;

Tak łagodnymi karci słowami,

I do paciorka ręce nam składa,

I klęcząc, głośno modli się z nami.

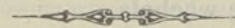
Więc cóż, że życie zeszło jej w troskach,

Gdy żywość uczuć w sercu wciąż płonie?

O! nasza babcia w tych siwych włoskach,

Jak w srebrnej zasług łśni nam koronie.

E. Lejowa.



SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

— Czuję, że mi wyrastać zaczynają skrzydła odwagi; postaram się o własnej sile wykierować na człowieka. Pójdę odszukać osobliwego ptaka, którego pióra sprzedają się tak drogo. Gdy dużo tych piór nazbieram, sprzedam je w mieście, z zebranymi pieniędzmi stanę przed ojcem i powiem: „Nie potrzebuję wam być dłużej ciężarem, kochani rodzice; choć kaleką jestem, potrafię tak dobrze jak bracia zarobić na utrzymanie swoje, ale nie zmuszajcie mnie do rzemiosła krawieckiego.” Ojciec ucieszony, przebaczy i pozwoli w inny sposób na życie zarabiać.

Resztę dnia Marcinek przyjemnie spędził w swojej pustelni; chleb świeży tak był smaczny, że nie potrzebował szukać innego pożywienia. Pewność, że będzie mógł chodzić swobodnie po całej okolicy, nie obawiając się spotkania z krawcem, radowała go nad wszelki wyraz; marzył tylko o zdobyciu drogocennych piór, które miały mu zjednać przebaczenie ojca i zapewnić pomyślną przyszłość.

Nie tracąc czasu, nazajutrz postanowił zaraz wybrać się na trudną i niebezpieczną wyprawę. Zanim słońce weszło, wdrapał się na szczyt skały tak zręcznie, że nawet najłżejszym szmerem nie rozbudził ptaków w gnieździe. Położył się cichutko, aby wygodnie przypatrywać się wszystkimu.

Za pierwszej bytności na skale nie zaszedł tak daleko; zdziwił się więc teraz, widząc rozwaliny starego muru. Była tu niegdyś wieża strażnicza, wznosząca się wysoko nad morze; stąd zbierano spostrzeżenia i dawano ostrzegające znaki statkom na morzu, będącym w niebezpieczeństwie.

Część tej wieży zapadła się, obrywając kawały nadbrzeżnej skały, a na deskach sterczących w szczelinach zamieszkały czaple. Gnieźdzą się one zwykle na wysokich drzewach, ale wypłoszone z sąsiednich lasów przez

chciwych na ich pióra handlarzy, tutaj szukały dla siebie schronienia.

Ruiny opuszczonej czatowni wyjaśniły Marcinkowi ślady mieszkania ludzkiego, które znalazł w grocie i okienko w murze poniżej wybite; do grotty chronili się niezawodnie przed burzą strażnicy, zmuszeni dniem i nocą czuwać na szczycie skały. Marcinek dumnym się poczuł, że sam jeden tylko wie o nadmorskiej kryjówce i o miejscu, gdzie przebywają czaple, tak poszukiwane dla piór swych cennych.

Chłopiec przypatrywał się ciekawie gniazdom niekształtnie usłanym z gałęzi, wśród starych desek; samice wysiadywały jajka, później zauważył i samców, powracających na wypoczynek po nocnych łowach, a każdy z nich niósł w dziobie rybkę lub owada.

Pióra miały puszyste, białe na szyi i pod spodem, skrzydła jasno-popielate, zielonkawe upierzenie pokrywało ich grzbiet i głowę, skąd wyrastała owa piękna kitka, z trzech piór złożona. Samcy tylko posiadali tę ozdobę; a właśnie o tej porze na wiosnę pióra zrzucali, i wiatr roznosił je dokoła.

Chłopiec tak był ostrożny, że nie poruszył się z miejsca, nie wyciągnął nawet ręki dla zbierania pożądaney zdobyczy, pragnął poznać bliżej ze zwyczajami skrzydlatych włóczęgów. Po skończonej biesiadzie ptaki spostrzegły obecność nieproszonego gościa i na ostrzegający krzyk jednego z nich, wszystkie zwróciły się ku chłopcu. Marcinek doznał niemiłego wrażenia, widząc tyle czerwonych źrenic utkwionych w siebie. Samców było około pięćdziesięciu wielkości indorów, uzbrojonych w długie dzioby i ostre pazury; rzuciwszy się na małego przybysza, mogłyby go wprędce zadziobać; one natomiast przyglądały mu się przez chwilę zdaleka, a widząc, że się nie porusza, nie zważając już na niego, zaczęły bawić się między sobą swobodnie i biły się nieszkodliwie skrzydłami. Po pewnym czasie upatrzwszy sobie dogodny do spoczynku miejsce, stojąc na jednej nodze posnęły, przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca.

Na to właśnie czekał Marcinek; wstał cichutko, zbierał porozrzucane pióra, wybierając tylko piękniejsze i ześliznął się ostrożnie ze skały, nie próbując nawet zdobyć kilku jaj z gniazda, aby nie budzić i nie płoszyć ptaków niepotrzebnie.

Na drugą noc podążył tu znowu, zanim samce wróciły i przed samicami, siedzącymi na gniazdach, położył po kawałku chleba, sądząc, że je tym sposobem zwoła potrafi oswoić. Nie zawiodła go ta nadzieja; wszystkie ptaki z małym wyjątkiem, lubią chleb, bez względu czem żywić się zwykły i nazajutrz Marcinek nie zastał już ani śladu przyniesionego czaplom przysmaku.

Zachęcony tem chłopiec, chlebem swoim dzielił się codziennie z ptakami, które niebawem oswoiły się z jego widokiem i nie uciekały za jego zbliżeniem.

Kiedy już wylęgły się małe pisklęta, Marcinek tak je potrafił do siebie przywiązać, że mu siadały na ramieniu, jadły okruszynki z jego ręki, a gdy się oddalał, to szły za nim aż na krawędź skały.

Tego rodzaju zajęcia uprzyjemniały chłopcu czas pobytu na wybrzeżu; milsze mu były dzikie czaple, ukry-

wające się po niedostępnych skałach, od domowych kur i gołębi. Nauczył się też poznawać i polubił inne gatunki ptaków, spotykane nad morzem lub w grocie; nie drażnił ich, nie dokuczał, nie straszył, przeciwnie, karmił je chlebem swoim i wszystkie oswajały się z łatwością, fruując obok niego swobodnie. Wyrzucał sobie teraz za bójstwo owej małej kuropatwy morskiej; w mieście kupił zapas chleba, sera, wędliny, aby głód nie zmuszał go do zabijania skrzydlatych towarzyszy.

Czasami brała go ochota na mleko, puszczał się po nie z garnuszką do pobliskiej wioski; z mieszkańcami unikał niepotrzebnych gawędek i nie wspominał nigdy o piórach czaplach, bojąc się wzbudzić zazdrość i przyciągnąć do swej kryjówki swawolnych chłopaków, gotowych wypłoszyć z takim trudem przyswojone ptaki.

Przypadkiem dowiedział się od jednego z miejscowych wieśniaków, że z wiosną przeciągają tędy ptaki zwane: nurami wędrownymi, których pióra puszyste i świecące, używane jako ozdoba w stroju, drogo nabywają kupcy, przybywający w te strony, na doroczny jarmark. Marcinek miał ochotę dowiedzieć się, kiedy odbywa się ten jarmark tak dla niego pożądany, ale nie chciał wprost o to zapytać.

(d. c. n.)

SZARADA.

*Pierwsze w porze zapustnej z wesołości słynie.
Trzecie z drugim to znane od wieków naczynie.
Trzecie z czwartym twarz ludzką, często bardzo zmienia
Lub też szerzy dokoła grozę spustoszenia.
Wszystko kwiat, który wprowadzi, woni nie posiada,
Ale barw swoich wdziękiem mile w oko wpada.*

ŁAMIGŁÓWKA KROPKOWANA.

Ułożyła Czarna Jagódka.

Już zabłysnął *dr. anki. tary*
Już słońeczko *szła*
Wszyscy śpieszą *do zabawy*
Hej wstawajcie *dzieci*
Tam na łące przy *okryciu*
Sperlonej od *rosy*
W górę pieśń kosiarzy *W. J. J.*
Ciach! ciach brzęczą *kosy*

Zamiast kropek dobrać rymujące się wyrazy, aby dopełniły treść wiersza.

ZAGADKA ARYTMETYCZNA.

Ułożył Fiołek.

W kwadracie o 5 przedziałkach rozłożyć liczby: 1, 2, 3, 4, 5, w ten sposób, aby w pionowym jak i w poziomym kierunku każdego rzędu, wypadł iloczyn 120.

METAGRAM:
Od Wichury dla P.

Gdy a ma w środku, — zdobny zielenią,
Ciągnie się zwykle długą przestrzenią,
Wabi do siebie ptaki i ludzi,
Skoro się wiosna wesoła zbudzi.
Lecz gdy i stawisz,
Już się nie bawisz,
Bo chytre zwierzę
Niesie w ofierze
Swej żarłoczności
Dobytek włości.

ROZWIĄZANIA DO N-ru. 22-go.

Łamigłówki kropkowanej:

Dołem wicher ciężkie chmury niesie,
O skaliste roztrąca urwiska;
Burza huczy po zczerniałym lesie
I gromami w głąb wąwozów ciska.
A tam w górze, gdzie najwyższe szczyty,
Lśnią pogodne, jak dawniej, błękity.
Adam Asnyk (El...y).

Łamigłówki w trójkącie:

W i n c e n t y P o l
J e r o z o l i m a
N e u e n b u r g
C l e r m o n t
E u g e n i a
N a n s e n
T o k a j
Y o r k
P a w
O b
L

Zagadki 1-ej: Lublin — Dublin. **Zagadki 2 ej:** ka — w — ka.

Skrzynka do listów.



Puszczykowi z Pilawy. Nie potrzebowaliśmy tak długiego przeciągu czasu, jaki podajesz na początku swego listu, by go przeczytać i dać ci nań odpowiedź. Opis wycieczki na Bielany pisany dość żywo, przeczytaliśmy z zajęciem, gdyż radzi jesteśmy wielokrotnie czytelnicy dzielić się z nami wrażeniami swemi.

P. Mieczysławowi G. Wierszyk p. t. „Wiejski Grajek” dość udatny, nadaje się do druku, i może być pomieszczony w Wieczorach.

Dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: **Eugenia i Jadwiga Mach., Słoneczko, Tadzio T., Sokolik, Panienska. Poj. z Juchnowiec, Płacząca Brzózka, Szałwia, Szarotka i Władzio.**

Z dobrych wiadomości, które mi donosisz **Turkawko** kochana, bardzo rada jestem i mam nadzieję, że kuracyna w Ciechocinku powiedzie się pomyślnie i skutki będą jak najlepsze. Przyszły twój list zastanie mnie w Redakcyi, bo dopiero w końcu Czerwca wyjadę z Warszawy.

Pseudonym **Goplany** podobał mi się bardzo, a na miły liścik, z odpowiedzią chętnie spieszę. Wierszyki, które tak lubisz układać, możesz mi przysłać w liście, zdanie moje napiszę ci otwarcie, ale wątpię aby pierwsze próby były udatne i nadawały się do druku.

Poj. z Juchnowiec wdzięczną jestem, że nie zapomina o mnie i donosi różne mile i ciekawe szczegóły o sobie i swym braciszku. Gusta nasze w zamiłowaniu do kwiatów bardzo są zbliżone, bo i moim kwiatem ulubionym jest konwalia. Z zaprosin twoich korzystałabym chętnie i radośnie pofrunęła w twoje strony, które znam i lubię, ale muszę towarzyszyć rodzicom ijechać wraz z nimi. W rozwiązaniu artymogryfu są pomyłki, szarada — dobrze.

Płaczącej Brzózce, Szałwii, Szarotce i Władziowi należy się bura, bo nieszczerze postępują ze mną i wiedząc, że z radością odczytuję ich odezwy, przepraszają mnie za „nudne“ listy. O I-ej nagrodzie sędzę, że decydują stopnie z egzaminów, z uwzględnieniem wszelako postępu w naukach całorocznych, a kwartał ostatni jest najważniejszy. Z niecierpliwością oczekiwać będę wiadomości o ostatnim wyniku egzaminów, o tem kto z was dostanie nagrodę i do jakiej przejdzie klasy. Spodziewam się, że prośby mej posłuchacie i w przyszłej odpowiedzi wesółych wakacyi życzyć wam będę. Rozwiązania dobre.

Z. Pol., ponieważ w poprzednich listach nie zaznaczyłaś ani słówkiem, że przeznaczasz je dla „Jaskółki,” Redakcyja dawała ci odpowiedzi. Ale teraz, gdy już kwestya między nami wyjaśniona, przepisana zostałaś na listę moich stałych korespondentek. Szarady będą przejrzane i osądzone.

Nie domyślasz się nawet **Sarenko Modrooka,** z jaką przyjemnością odczytałam twoje fiołkowe arkusiki, na których tak barwnie i ciekawie opisujesz swą wycieczkę do Sandomierza. W latach wczesnego dzieciństwa wielokrotnie byłam w tym mieście i dużo miłych wspomnień pozostało mi z owych czasów. Czy w Tar. do zakładu P. P. Ursz., zdawać będziesz egzamina podczas wakacyi i później pozostaniesz tam na stałe? Książeczki wysłałmi przed kilku dniami, czyż je otrzymała?

Skowronkowi z nad Warty. Proszę zwykle moich korespondentów, by mnie zwali poprostu „Jaskółką” tak najlepiej lubię i do tego przywykłam. Szarady twoje przeczytałam i o ile mogę sądzić przyjęte będą, bo zgrabnie napisane i pomyślane. Kajety z wklejanymi obrazkami możesz przysłać wprost do Redakcyi, zkad odniesione będą do szpitalika.

Mała Nusia bardzo ładnie napisała do mnie, tylko co do wieku musiała zająć omyłką, znam dobrze dzieci i wiem, że 5-oletnie dziewczynki nie umieją pisać takich długich i dobrze ułożonych liścików. Donieś mi więc ile masz lat i czy lekcyemuzyki lepiej się teraz udają. A teraz pozdrawiam wraz z tobą wszystkich miłych mi czytelników i czytelniczeki „Wieczorów.”

Zawsze wam przyjazna

Jaskółka.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał III-ci dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.